

Michał Wiktorko

Część pierwsza: Maszyna

I

Pod niepokojąco żółtym drzewem, na kamiennej ławce siedziała blondwłosa dziewczyna. Mało kto ją znał, tym bardziej każdy przechodzień oglądał się w jej kierunku. Była ubrana w bardzo cienką kurtkę, a dzień był zimny i pochmurny. Wiatr wiał zupełnie jak gdyby bezwładne włosy dziewczyny były dla niego kolejną po rozrzuconych liściach zabawką. Tajemnicza dziewczyna nie była sama, najpierw przyszedł do niej jakiś mały i wychudzony kundelek, później nieco większy wilczur. Oba siedziały przed nią i patrzyły jej prosto w oczy nawet, gdy ona patrzyła gdzieś w dal. W telepatyczną rozmowę włączało się coraz więcej psów, które schodziły się zewsząd, tylko po to, by móc patrzeć w oczy spokojnej dziewczyny, której jedynymi oznakami życia i przytomności były dość częste, krótkotrwałe westchnienia.

Zmrok zbliżał się powoli, robiło się coraz zimniej, a liczba psów przekroczyła już chyba wymaganą setkę. Zorientowawszy się w porę Annabel, bo tak miała na imię, podniosła się z miejsca, rozprostowała nogi i ruszyła w nieznanym kierunku, a za nią cała kolumna psich adoratorów.

Nieopodal w tym samym czasie pewien mały chłopczyk imieniem Walerian próbował wspiąć się na dość wysokie, zważywszy na wiek chłopca, drzewo. Próbował już chyba wszystkiego, skonstruował nawet prowizoryczną linkę z przyczepionym hakiem, ale mimo to nie miał dość siły, aby wejść choćby na najniższy konar. Zależało mu na czasie, gdyż zbliżała się noc, a jego kotek bał się zejść sam, bo i jego umiejętności potęga drzewa przerastała. Przechodził na szczęście tamtędy osiem lat starszy brat Waleriana, a na imię miał Aurelian. Oboje bracia mieli dość nietypowe, jak na współczesne czasy, imiona, ale przez to w szkole nie odczuwali stresu związanego z wołaniem do odpowiedzi jakichś innych Aurelianów, czy Walerianów. – O, dobrze że jesteś. – zagadnął Walerian, gdy tylko zobaczył brata.

- Co tam młody? Ty, mama mówi, że masz już zbierać zabawki. Zaraz się całkiem ściemni i nikt nie będzie cię szukał jak się zgubisz. – powiedział jakoś tak oficjalnie i bez uczuć.

- Ale Magik nie chce zejść z drzewa. – dodał z rozczarowaniem w głosie – Próbowałem już wszystkiego. Weź coś zrób, jesteś brat czy nie...

- Zaraz, czekaj – i wspiał się dość szybko i sprawnie na drzewo, a mały Walerian patrzył z podziwem. Aurelian zawsze był jego autorytetem, zawsze umiał wszystko zrobić i na wszystko miał zawsze odpowiedź. Niestety dopiero po śmierci brata Walerian zrozumiał, jak bardzo tragiczną postacią był jego brat.

– Dobra, trzymaj swojego kota. Ja jeszcze skoczę do pana Sparksa po narzędzia taty, chyba trafisz sam, co? – ostatnie słowa mówił oddalony od Waleriana na tyle, że wśród drzew parku, jego sylwetka była ledwo dostrzegalna.

Kot Waleriana nie był takim do końca zwykłym kotem. Odkąd tylko rodzina Kowalów przyjęła go pod swój dach, przejawiał dziwne zachowania, które mały chłopiec interpretował jako magiczne, a każdy inny lekceważył. Magik, bo nie bez powodu tak go nazywał jego pan, miał bardzo duże oczy, które przypominały ludzkie, gdyż ich źrenice nie były pionowe i ostre, ale zupełnie okrągłe. Jego wzrok był przenikliwy i niejednokrotnie właśnie z tego powodu mama – Elżbieta przeganiała go na dwór, gdy tylko czuła na sobie jego wzrok. A potrafił on patrzeć naprawdę długo i analizować każdy ruch, zupełnie jakby uczył się i starał zapamiętywać to co robią inni. Walerian często do niego mówił i tłumaczył mu to co dzieje się dookoła, będąc pewny, że Magik go rozumie. Byłoby to zupełnie normalne, bo w końcu dzieci rozmawiają nawet z zabawkami, ale pewnego dnia Magik, na postawione przez Waleriana pytanie starał się odpowiedzieć używając do tego ludzkiej mowy. Wyszło mu to bardzo nieudolnie i każdy normalny sceptyk stwierdziłby od razu, że to zwykłe miauczenie, tylko trochę bardziej złożone. Waleriana bardzo rozśmieszyła ta mowa i od tego czasu kot zaniechał jakichkolwiek prób rozmowy poza

wskazywaniem łapką przedmiotów lub rysowaniem na piasku jakichś niezrozumiałych obrazków, z których raz można było nawet zrozumieć, po nakreślonych dwóch łukach, że kot ma ochotę na rybę.

Obecnie nie wykazywał żadnych oznak swojej wyjątkowości, siedząc w ramionach małego Waleriana. Spokój nie trwał zbyt długo, gdyż kot nagle się zdenerwował, najeżył i zaczął spazmatycznie drapać i wyrywać się, po czym zeskoczył krzywo na ziemię i czym prędzej wdrapał się na najbliższe drzewo. Oczy Magika przymknęły się delikatnie, jakby skupiał się na jakimś odległym punkcie. Walerian natychmiast obejrzał się w tę stronę i spostrzegł tam tajemniczą postać, która zdawała się iść drogą oddaloną od chłopca o jakieś dwadzieścia metrów. Okazało się, że jest to młoda dziewczyna, w rozwianych, długich po pas włosach, za którą dumnie kroczyło całe stado różnych psów. Walerian szybko spostrzegł, że jeden z psów się strasznie wyróżnia – nie ma włosów, najwyżej jakieś pojedyncze, jest strasznie brzydki i ma ogon jak jaszczurka. Bardzo go ten widok przeraził i począł się zastanawiać dokąd to stado dziwolągów zmierza. Magik bez zmruczenia oka przypatrywał się dziewczynie, która powoli zniknęła mu z pola widzenia. Gdy zniknęła zupełnie, oboje odwrócili się do siebie twarzami i kot zeskoczył prosto w rozłożone ręce chłopca. Popatrzyli sobie w oczy i bez słów ruszyli do domu. Walerian nie wypuszczał Magika z rąk, nie żeby stracił do niego zaufanie, po prostu lubił go trzymać. Kot miał bardzo miękkie futerko, a całą drogę do domu mruczał, za to jego struny głosowe sprawiały, że dodatkowo całym ciałem przyjemnie wibrował. Poza tym, tak jak skutkiem ubocznym rozgrzanego włókna wolframu jest światło, tak i tu zupełnie dodatkową korzyścią było ciepło, jakie oddawał kot w ten jakże pochmurny i zimny wieczór.

II

Tata małego Waleriana i starszego Aureliana był człowiekiem nad wyraz spokojnym i opanowanym. Podchodził do życia bardzo racjonalnie i zazwyczaj dobrze na tym wychodził. Całe swoje życie spędził w Astawie - małym miasteczku, gdzie przeżył swoje najpiękniejsze chwile, jak i trudności z którymi tylko ktoś o wielkiej cierpliwości i nieugiętej wytrwałości mógł dać sobie radę. Tu właśnie poznał swoją przyszłą żonę Elżbietę, na którą czekał przeszło 25 lat, a która był jego pierwszą i ostatnią miłością. Trudno mówić o jakimkolwiek życiu towarzyskim pana Alberta. Żył spokojnie, starał się nie wychylać i był raczej zamkniętym w sobie jegomościem. Zupełnym przeciwieństwem była Elżbieta, która zajmowała się całym domem i w zasadzie to ona rządziła, dyktując wszystkim co mają robić. Zakochała się w Albercie pewnej ciepłej nocy, gdy leżeli na łące podziwiając gwiazdy. Ognisko oświetlało ich młode twarze, których oczy wpatrywały się w siebie nawzajem, widząc własne oblicze w oczach drugiej osoby. Tak też było z ich miłością - nie kochali siebie nawzajem, ale kochali samych siebie w sobie. Innymi słowy kochali się za to jacy są podobni i gdy tylko zauważyli, że nie są do końca tacy jakich siebie widzieli przed ślubem – zaczęły się częste kłótnie. Najczęściej ich powodem było ogólne przekonanie Alberta o istnieniu chupacabry, o której niejednokrotnie słyszał w dzieciństwie, a której nikt nigdy na oczy nie widział, a jeżeli nawet to opisywał zupełnie inaczej, przekręcając przy tym często jej nazwę.

Mimo wszystko Albert był człowiekiem niezwykle wytrwałym i upartym, i głęboko wierzył, że to właśnie chupacabra jest przyczyną śmierci jego ojca, który podobnie jak on całe swe życie szukał prawdy, a gdy był już pewny swego i wiedział gdzie dokładnie ukrywa się chupacabra, na dzień przed wyruszeniem z jego czterema wiernymi chłopami, znaleziono jego zwłoki koło stodoły. Miał na wysokości pępka otwór o średnicy kubka czy szklanki, a całe ciało

pozbawione było nawet jednej kropli krwi. Uznawany był powszechnie za wariata, toteż nikomu nie przyszło do głowy posądzać o zabójstwo tajemniczą chupacabrę, nie chcąc być w opinii wioski uznanymi za głupich. Jak już mówiłem, Astawa był wtedy jeszcze wioską, małą rolniczą wioseczką, która dopiero niedawno otrzymała prawa miejskie rozrastając się kilkakrotnie w przeciągu ostatnich lat. Wszystko za sprawą letniej turystyki, na której kilkanaście lat temu postanowił zrobić interes pan Sparks. Pochodził on z Anglii, gdzie nadal ma rodzinę, która czasem przyjeżdża do Astawy, odwiedzić dziadka. Nie są tu nigdy zbyt długo, zazwyczaj nawet nie tyle, by, ktokolwiek z mieszkańców zorientował się, że ktoś odwiedził ich zamożnego sąsiada. Najbardziej zorientowany był jednak Aurelian, który zawsze bardzo czekał na przybycie rodziny pana Sparksa, a szczególnie jego wnuczki – Annabel. Ona też później przyjeżdżała już tylko, aby spotkać się z Aurelianem, bo sam fakt odwiedzenia dziadka nie ruszyłby jej z hamaka, jaki miała na podwórku przed domem w małej miejscowości pod Londynem, gdzie wszystkie domki są takie same, płotki białe i niskie, a trawniki wiecznie zielone. Również pogoda jest bardzo podobna, przynajmniej ostatnimi czasy.

Ich miłość była zupełnie niezrozumiała dla małego Waleriana, chociaż lubił Annabel, a szczególnie jej wyobraźnię i nieskończoność pomysłów na samotną zabawę dla niego. Dopiero z biegiem lat zrozumiał, że po prostu chcieli być sam na sam i nie potrzeba im było mediacji małego plotkarza. Mimo wszystko Walerian nawet po śmierci brata nie mógł zrozumieć, co Annabel w nim widziała, był przecież zupełnie nudny, całkiem poważny, a jedyne o czym potrafił gadać to motoryzacja i technika. Walerian jako zupełnie przeciwieństwo brata i wielki zwolennik życia zgodnie z naturą nie uznawał tych wszystkich nowinek technologicznych, którymi żył Aurelian.

Na drugi dzień od zobaczenia Annabel na czele tabunu psów, Walerian wstał dość późno, gdyż była sobota, a jak wiadomo pierwsza klasa podstawówki

zobowiązuje, by wstawać wcześniej rano przez cały tydzień, toteż sobota była dniem upragnionym już w porannych godzinach poniedziałkowych. Wykorzystawszy w pełni ten mały przywilej wolności, ruszył na śniadanie-obiad i od razu na wejściu zmarszczył się, widząc brak jedzenia w lodówce i mamę nerwowo stojącą przy telefonie. Nikt nie był w sklepie, to i nie było co jeść. – Jak wczoraj wracałeś, to znaczy jak byłeś w parku wczoraj, widziałeś brata? – spytała mama, trzymając Waleriana za barki.

- Nie, a co? Nie wrócił?

- No nie, i nie mam bladego pojęcia gdzie może być... Niech no tylko wróci to tak mu...

- Zaraz, coś kojarzę. Chyba mówił, że idzie oddać narzędzia do Sparksów czy coś. – dodał bez przejęcia, szperając po szafkach.

- Ale ja tam dzwoniłam i pan Sparks mówił, że go wczoraj nie widział.

- To nie wiem. Mogę iść do sklepu?

- Weź kup chleb i coś do chleba, co tam chcesz, ale resztę przynieś. – włożyła mu w dłoń jakieś grosiaki i odprawiła, klepiąc po plecach. Usiadła potem na krześle, oparła się o stół łokciami i trzymając się za głowę patrzyła pusto na jakieś brudne talerze w zlewie. Po chwili usłyszała krzyk, krzyk krótki i odległy, ale wystarczający, aby poznać w nim krzyk swojego dziecka, który natychmiast postawił ją na nogi i wybiegła czym prędzej na zewnątrz.

III

Walerian znienawidził psy pamiętnego dnia, kiedy idąc do sklepu zobaczył na drodze poszarpane ciało ukochanego kota. Było to wstrząsające przeżycie, szczególnie dla tak małego chłopca. Zabrał więc zwłoki, zalewając się łzami. Minął mamę, która zakrywając usta powstrzymała się od wszelkich pytań. Dochodząc do domu skręcił w stronę szopki, skąd zabrał najlżejszą łopatę i

począł kopać niewielką dziurę, w której umieścił i zasypał Magika. Wrócił do domu, cały czas myśląc o zemście na przedstawicielach psiej rasy. Zapomniał o sklepie, o bracie, niemal o wszystkim i usiadł w fotelu patrząc w okno. Zdenerwowany dość szybko zasnął, a jego sen był dość przyjemny. Śniło mu się, że Magik przyszedł do niego cały brudny od ziemi, usiadł na jego kolanach i mruczał jakby nic się nie stało. Po chwili nagle kot zerwał się z miejsca, wskoczył na parapet, a gdy odwrócił się do Waleriana, jego twarz okazała się być mechaniczna, oczy świeciły mu na żółto i zaczął coś skrzeczeć metalicznym głosem, poruszając sztucznie mechaniczną szczęką. Gdy skończył, zwrócił cybernetyczne oblicze w stronę okna i wyskoczył przez nie rozbijając szybę z wielkim hałasem. Walerian zbudził się od razu, a pierwsze co zrobił, to spojrzął na okno, które na szczęście było w jednym kawałku.

Wieczorem, gdy Albert wrócił z pracy, Aurelian nadal był w świecie i nic o nim nie było wiadomo. Tata wracał zazwyczaj pod wieczór, bo jego praca w gospodarstwie pana Sokolova polegała na niemal całodziennym zajmowaniu się zwierzętami - w tym dojeniu krów, doglądaniu roślin uprawnych, sadzeniu nowych roślin i wielu innych rzeczy. Gospodarstwo było szczerze mówiąc małe, ale dzięki niemu Sokolov miał co jeść i wystarczyło mu to w zupełności. Nie mógł on sam zajmować się gospodarką ze względu na wózek inwalidzki, który trzymał go w swoich objęciach. Wiele lat temu, gdy nadal po świecie chodził ojciec Alberta, pan Sokolov, wtedy jeszcze jako młody chłopiec, często zabierał się na polowania na chupacabrę. Zawsze był tymi wyprawami podekscytowany i nie bał się dzierżyć w dłoniach ciężkiego karabinu. Pewnego pochmurnego dnia został postrzelony w kręgosłup przez kolegę, który we mgle był pewny, że strzela do czworonożnego, obślizgłego potwora. Mimo kalectwa, pan Sokolov dawno wybaczył Albertowi, dzięki czemu po dziś dzień mogą rozmawiać o chupacabrze i podniecać się każdą plotką o jej rzekomym spotkaniu. Poza tym Albert, jako człowiek honoru zobowiązał się dopóki mu

siły pozwolą, zajmować gospodarstwem przyjaciela. Tę manię na punkcie chupacabry trudno nazwać pasją, według Elżbiety to zdecydowanie obsesja i obaj powinni się leczyć.

Tego wieczoru Albert wrócił bardzo zdenerwowany, a całe ubranie miał ubrudzone w błocie. Gdy Elżbieta spytała co się stało, on ze złością spytał, czy to jej zachciało się kopać dziury w drodze do szopki. Walerian początkowo nawet nie skojarzył, że może chodzić o jego dziurę, ale przypomniało mu się to od razu, gdy kładł się spać, analizując wszystko co się tego dnia wydarzyło. Zerwał się wtedy z łóżka i mimo wiatru, wyskoczył w samej piżamie na dwór, biorąc tylko latarkę. Za domem zobaczył rzeczywiście rozkopaną dziurę, której przyglądał się świecąc w różnych kierunkach. Gdy miał już iść, zauważył, że światło latarki odbija się od jakiegoś przedmiotu na dnie dziury. Było to coś na rodzaj długiego na prawie łokieć, metalowego pręta, który zwężał się ku końcowi. Nie był prosty, lecz lekko zagięty, a jego budowa była molekularna. Składał się bowiem z nakładających się na siebie obręczy. Walerian włożył znalezisko pod koszulkę i pobiegł czym prędzej do łóżka. Przed snem schował skarb do małego kuferka pod łóżkiem, aby nikt mu go nie zabrał.

Nazajutrz rano, gdy Walerian zwykł bawić się na podwórku, w pobliżu szopki na narzędzia jego uwagę przyciągnęła, leżąca koło zaniedbanych chaszczy, świecąca moneta. Pobiegł do niej i już miał ją podnieść, gdy nagle ktoś złapał go od tyłu – w jednej chwili zakrył mu usta i zabezpieczył przed ucieczką silnym uciskiem. – To ja Aurelian. Wybacz te podchody bracie, ale gdybym ci się pokazał bezpośrednio, uciekłbyś, albo co gorsza, powiedział rodzicom. Ufam ci, więc proszę nie bój się. – Walerian wypuszczony, odwrócił się powoli w stronę brata i aż się cofnął, widząc jak dziwny, wysoki potwór na chudych nogach wydaje się mówić głosem jego brata. W normalnych okolicznościach pewnie uciekłby z płaczem, ale podświadomie czuł, że to coś w ubraniach Aureliana to jego brat. Potwór nie był straszny, jedynie brzydki. Miał

wypukłą rekinio-żółwią twarz, ale skórę gładką i białą, nie miał skrzeli, lecz potężną klatkę piersiową. Jego ciało było w miarę humanoidalne, poza pewnymi dysproporcjami rąk i nóg, gdyż te pierwsze były stosunkowo większe od drugich. Poza tym, jego nogi wyginały się w odwrotną stronę jak u konika polnego, były długie i chude, ale wyglądały na mocne i silne. – Co ci się stało? – zapytał przerażony Walerian, mimo że jego przerażenie było znacznie mniejsze niż się tego spodziewał Aurelian.

- To skomplikowana historia i jesteś trochę za młody, w każdym razie wrócę do dawnej postaci, już ty się nie martw. – uśmiechnął się szeroką, najeżoną ostrymi zębami szczęką.

- To ty wykopałeś Magika? – zapytał, jakby tylko to się liczyło.

- Jak wykopałeś? O co ci chodzi?

- No z ziemi, wczoraj.

- Jak Magika z ziemi, przecież to kot, co on miałby w ziemi robić?

- No bo go zakopałem.

- A dobrze się czujesz? – zapytał z drwiną i niedowierzaniem.

- Na pewno lepiej niż ty. – po czym dodał – Pochowałem go, bo psy go zagryzły.

- Jak to? Znaczy się... Przepraszam. Ostatnio jakoś nie jestem sobą.

- No coś ty?

- Haha – zaśmiał się i Walerian zobaczył jak dużo trójkątnych zębów ma jego brat – jesteś mądrzejszy niż na to wyglądasz. A tak na poważnie, to weź skołuj trochę żarcia, co? Nic nie jadłem od prawie dwóch dni. – mimo wyglądu potrafił wzbudzić litość, ale Walerian nie mógł się powstrzymać i zapytał: - Ale co takie dziwolągi jedzą? Marsjanki się wczoraj skończyły. – dodał z uśmiechem satysfakcji.

- Jedzą małych chłopców, gdy za dużo gadają! – Walerian poszedł niechętnie do kuchni i wtedy przypomniał mu się metalowy skarb, który przecież wczoraj

chował. Wziął więc parę bułek, kawałek sera i jakiś wczorajszy kotlet, po czym pobiegł do swojego pokoju i wsadził do kieszeni metalową różyczkę. Po dotarciu do krzaków, szepnął do brata, że może już wyjść. Ten wyszedł i od razu zabrał się za jedzenie, trąc je swoimi trójkątnymi zębami. W międzyczasie Walerian wyjął na wierzch metalowy pręt i zapytał brata, czy nie wie co to może być. Aurelian najpierw zlekceważył zaczepkę brata, ale gdy tylko zauważył co chłopiec trzyma w dłoniach, zabrał mu to i zaczął oglądać z każdej strony, wyginając przy tym przedmiot do granic wytrzymałości, a wydawał się z łatwością wyginać. Jego struktura była niespotykana, jak stwierdził starszy brat i mimo, że nie miał pojęcia co to może być, wiedział jedno – To nie jest metal. Metal jest ciężki, a to prawie nic nie waży, a wydaje się być prawie niezniszczalne, zauważyłeś? Chyba wiem, kto będzie mógł coś z tym zrobić, ale ja nie będę mógł tam iść, więc ty pójdziesz, ok.? – dojadł resztę jedzenia, po czym dodał – Najpierw jednak musisz się spotkać z Annabel, ona tam z tobą pójdzie. Powiesz jej, że brat cię przysyła i chcesz iść z tym czymś do pustelnika. Poza tym, Annabel dowie się, że przeżyłem. O właśnie, powiedz jej, jak już tam dojdiesz, że wszystko ze mną w porządku i żeby się nie martwiła. Ej i nie mówi, że tak wyglądam, obiecujesz?

- Ale kto powiedział, że tam pójde? Wczoraj, znaczy przedwczoraj widziałem ją z całym stadem psów, a to psy zabiły Magika, więc tam nie pójde! – odpowiedział stanowczo, zaciskając pięści, po czym z grymasem na twarzy, poszedł do domu.

Już na progu zdziwiła go rozmowa jaką usłyszał. – Aurelian, gdzieś ty był? Prawie dwa dni bez żadnej wiadomości, mogłeś chociaż zadzwonić, nie wiem. Czy ty chcesz, żebym do reszty osiwiła? Masz zakaz wychodzenia z domu do odwołania! – Walerian był zupełnie zdezorientowany tym, co usłyszał, więc czym prędzej wszedł dalej w głąb mieszkania, przeszedł przez kuchnię, gdzie siedziała mama, aż wreszcie doszedł do pokoju brata, uchylił drzwi i zobaczył

jak ów siedzi na swoim łóżku, patrząc się w przeciwległą ścianę. Gdy tylko dostrzegł młodszego brata, zwrócił wzrok ku niemu i wtedy właśnie Walerian dostrzegł, że jego oczy są dziwne i cały wydaje się dziwny, choć z jego punktu widzenia Aurelian zawsze był dziwny, ale teraz już całkiem, mimo że wyglądał jak zawsze. – Ale w takim razie kim, a raczej czym było to coś z czym rozmawiałem na podwórku? – pomyślał z przerażeniem. – Bo skoro mój brat jest tu, to... - na samą myśl cały zbladł, ale nie pobiegł poskarżyć się rodzicom, lecz usiadł naprzeciw brata i zaczął go pytać o różne rzeczy. Pytał o to gdzie był, czy wie coś o śmierci Magika, później już nawet o Annabel, a zirytowany milczeniem brata spytał w końcu, dlaczego ten nie mruga oczami, bo to co najmniej dziwne. Walerian sam już nie wiedział, który Aurelian jest bardziej aurelianowy, więc wrócił na dwór i zaczął opowiadać temu brzydkiemu o tym niewiele (wg niego) mniej brzydkim. Oboje zrozumieli, że dzieje się coś podejrzanego i wiedzieli, że muszą działać szybko.

IV

Zbliżał się wieczór i siedzenie na werandzie przed domem robiło się coraz mniej przyjemne ze względu na zimno, więc Annabel weszła do środka i ubrała sweter, a gdy wróciła, by nadal wsłuchiwać się w świerszcze i żaby, ujrzała przed gankiem małego chłopca z latarką. Od razu poznała, że to Walerian, więc spytała co tu robi o tak późnej porze. Pokazał jej więc dziwny pręt, który znalazł, a ona zapytała: - To Aurelian żyje? Byłam pewna, że zginął wtedy gdy... Czyli jednak się da, czyli można przejść na drugą stronę. Ale zaraz, gdzie on jest? Gdzie teraz jest Aurelian? – spytała podekscytowana.

- No w zasadzie to w domu, ale nie do końca, ale wszystko jest ok. i masz się nie martwić.

- Coś kręcisz. – spojrzała mu w oczy podejrzliwie – Jak mi zaraz nie powiesz prawdy, to sama tam pójde i...
- Nie, nie możesz, bo... bo...
- Bo spotkasz niewłaściwą osobę. – odezwał się tajemniczy głos, gdzieś zza drzewa.
- Aurelian? To naprawdę ty? – spytała Annabel.
- Tak, ale... Ale lepiej, żebyś nie widziała mnie w obecnym stanie, tak będzie naprawdę lepiej. – odpowiedział ścisząc ton głosu.
- Przecież nie może być aż tak źle. Skoro żyjesz, skoro przyszedłeś aż tutaj i możesz mówić, to co może być nie tak?
- Nie mam pojęcia jak to się stało i dlaczego tak wyglądam, zrobiliśmy przecież wszystko tak jak w zapiskach. Nigdzie przecież nie było nic o skutkach ubocznych. Problem w tym, że na razie nie mam pojęcia jak wrócić do dawnej postaci.
- To nie jesteś człowiekiem? – zdziwiła się.
- No chyba nie.
- Nie żartuj, to jak ty wyglądasz? Jak pies?
- Nie wygląda dużo gorzej niż kiedyś – wtrącił się Walerian.
- Lepiej, żebyś mnie nie widziała – odpowiedział Aurelian i dodał – idźcie już lepiej do pustelnika z tym prętem, postaram się za wami iść, dopóki jest jeszcze ciemno. – Ruszyli więc w drogę. Dom Sparksów mieścił się na obrzeżach miasteczka, dzięki czemu Pan Sparks miał sporo ziem, a idąc w głąb nich i oddalając się tym samym od miasta, natrafić można było na małą chatkę, obok której stała, wybudowana chyba własnymi siłami, bo bardzo nietypowa, wieża z czymś na rodzaj obserwatorium astronomicznego. Walerian zdziwił się, że takie rzeczy są tak niedaleko domu, ale to jeszcze nic w porównaniu z tym, co było wewnątrz zapyziałej, zbitej z desek chatki.

Mimo później pory, otworzył im chudy i wysoki staruszek, ubrany w jakieś łachy, cały roztrzepany, ale niezwykle sympatyczny, a w jego błyszczących oczach i asymetrycznym uśmiechu, widać było pewien geniusz, ale i szaleństwo. Zaprosił ich szybko do środka, spytał o Aureliana, ale nie czekając odpowiedzi, od razu zaczął mamrotać coś pod nosem na zupełnie inny temat. Umilkł dopiero, gdy Walerian pokazał mu przedmiot, stanowiący o celu ich podróży, z którym wiązali jedyną nadzieję uratowania Aureliana. Popatrzył chwilę na cacko, poczym szybko podniósł klapę w drewnianej podłodze i zniknął, schodząc gdzieś w dół. – Idzicie czy nie? – zapytał zdziwiony, więc dzieci podeszły bliżej otwartej klapy i zobaczyły ciągnące się w dół, kamienne schody, na końcu których widać było rozproszone, pomarańczowe światło. Annabel dobrze знаła miejsce, do którego prowadzą schody, bo często z Aurelianem odwiedzali pustelnika. Ich znajomość zaczęła się dość banalnie, gdyż kilka lat temu, zbiegiem okoliczności Aurelian i Annabel, biegnąc z dwóch przeciwnych stron astawskiego lasu, spotkali się przy tajemniczej jaskini. Kłócili się wiele razy o to, kto pierwszy ją znalazł i czyja jest, ale żadne z nich nie odważyło się wejść do środka, ze względu na ciemność jaka tam panowała. Z czasem przychodzili tam, głównie po to, by bawić się wkoło groty, gdyż rosły tam dziwne rośliny, których dzieci do końca życia nie spotkały nigdzie indziej. Pewnego razu, gdy jak zwykle szli się pobawić, Aurelian i Annabel spostrzegli, że ktoś wchodzi do „ich” jaskini. Postanowili go śledzić, a nie było to trudne, bo włamywacz miał ze sobą źródło światła. Po około piętnastu minutach skradania się, trafili do wielkiej, kamiennej hali, na środku której znajdował się kamienny pulpit i dwie płaskie i okrągłe płaszczyzny o promieniu długości leżącego człowieka każdy. Oba kamienne kręgi leżały obok siebie i były połączone grubym przewodem. Zapach jaki unosił się w powietrzu był dosyć drażniący, więc przyszły pustelnik szybko zorientował się, że nie jest sam, słysząc ciche kichnięcia. Wystraszone dzieci zgodziły się, że nikomu nic nie powiedzą o tym

miejscu i od tej pory zaprzyjaźniły się z pustelnikiem, który często tam przychodził. Zazwyczaj pozwalał dzieciom patrzeć na to, co robi, a działały się tam rzeczy naprawdę magiczne. Otóż jak odczytał na kamiennym pulpicie, gdy umieści się w jednym okręgu jakiś przedmiot (na przykład poduszkę), a w drugim jakieś zwierze – koniecznie żywe, np. kurę, to wtedy dzięki tej kurze, poduszka zostanie wysłana do innego wymiaru, jak twierdził. Nie mógł niestety zobaczyć efektu swoich prób, bo zazwyczaj, gdy dziwna, futurystyczna machina działała, żywy element umierał, a sztuczny po prostu znikał. Pustelnik wiedział, że aby się przekonać gdzie wysyłane są poduszki, kubki i inne plecaki, sam musiał się tam wysłać. Problemem było to, że nie miał pojęcia jaka żywa istota, odpowiadać będzie człowiekowi, ew. ilość istot, a wykluczał zabicie kogokolwiek tylko po to, aby zaspokoić ciekawość.

Schodzili więc schodami w głąb dawnego bunkra, gdzie pustelnik zrobił sobie laboratorium, nad którym zbudował pozornie byle jaką chatę. Laboratorium, w którym Walerian był po raz pierwszy nie było takie jak w filmach – jasne, białe i sterylne, to było brudne, obklejone, ale trzeba przyznać wyposażone w sprzęt nie z tej ziemi. Pustelnik zbadał skrupulatnie dostarczony kawałek niespotykanego tworzywa i stwierdził jednoznacznie: - Nie mam pojęcia, co to jest. Czyżby to było dzieło... Nie. Nie możliwe.

V

Elżbieta zmartwiła się nieobecnością Waleriana, który obiecał jej, że zaraz wróci, a nie było go już od 5 godzin. Poszła więc do pokoju Aureliana i poprosiła o pomoc w szukaniu brata. Aurelian wstał z łóżka, na który nadal siedział i udał się w stronę drzwi wyjściowych. Gdy oboje wyszli na zewnątrz, Elżbieta posłała go jeszcze po latarkę do szopki. Ten bez słowa poszedł, a gdy nie wracał nadal po 10 minutach, Elżbieta postanowiła, że sama poszuka latarki,

utwierdzając się w przekonaniu, że tylko na siebie może liczyć w tym domu. Idąc po ciemku potknęła się i upadła na leżącego na ziemi syna. Wstała czym prędzej, wzięła z szopki latarkę i zaświeciła na ziemię, na której leżał Aurelian z jedną nogą w dziurze, rękami sztywno wzdłuż ciała i głową roztrzaskaną na kamieniu. Widząc to, Elżbieta natychmiast pobiegła po męża, który akurat oglądał telewizję i szybko przyprowadziła go z sobą. Przerażony podniósł zwłoki syna i bardzo zdziwił się, gdy zobaczył, że z jego głowy wystają elektroniczne elementy, jakieś złącza, magistrale i różne przewody, które przecież mogły być tylko metaforycznie w głowie ich syna. – Nasz syn był androidem! – powiedziała przerażona Elżbieta.

- Nie, to musi być robota konstruktora... - odpowiedział z zaciekleścią Albert.

- Konstruktora? Co jeszcze? Może chupacabry?!

- Chupacabry w to nie mieszaj! W przeciwieństwie do chupacabry, konstruktor istnieje – odrzekł wyraźnie zasmucony.

- Czyli teraz już chupacabra nie istnieje? Wyłumacz mi co to wszystko ma znaczyć!

- Dobra, dosyć już kłamstw. Chupacabra nigdy nie istniała, to była tylko przykrywka, żebyś nie była podejrzliwa ciągłym przesiadywaniem u Sokolova. Tak naprawdę to od lat staraliśmy się odnaleźć konstruktora – człowieka, który samotnie buduje samouczące się roboty, które są wszędzie dookoła nas po to, aby szpiegować dla rządu. Komunizm w naszym państwie co prawda skończył się, ale pewne rzeczy nadal zostały i dopóki będą, nasza ojczyzna nigdy nie będzie wolna. Zazwyczaj były to roboty udające zwierzęta, ale to co zobaczyłem przed chwilą świadczy o wielkim postępie technologicznym, jaki musiał mieć miejsce ostatnimi czasy, w końcu lada chwila wejdziemy w XXIw. Wraz z Sokolovem zbieraliśmy dane i obserwowaliśmy środowisko, zniszczyliśmy w ten sposób wiele robotów. Ale żaden z nas nie pomyślałby, że i my możemy być szpiegowani. Pamiętasz Magika? To był typowy droid. Postarałem się zniszczyć

go w taki sposób, żeby Walerian zrzucił winę na psy, bo wiem, że ostatnio sporo ich tędy przeszło. Domyśliłem się też, że Walerian pochowa go gdzieś niedaleko i odkopałem ciało Magika, poczym zaniósłem do Sokolova, aby poddał je analizie. Ostatnimi dniami wyszliśmy z założenia, że da się odnaleźć konstruktora, jeżeli robot nie będzie za bardzo zniszczony (na co po raz pierwszy zwróciłem szczególną uwagę, niszcząc Magika) i będzie można przeprogramować go tak, aby doprowadził nas do producenta. Mimo zaawansowanej technologicznie konstrukcji, drozdy zazwyczaj są łatwe do hackowania, ale niestety i to się nie powiodło, bo ogon kota gdzieś się zgubił, o czym poinformował mnie telefonicznie mój przyjaciel, gdy już wróciłem do domu. Niestety bez tak sporej części jak ogon, nie ma szans na ponowne uruchomienie. Nie spodziewałem się zupełnie, że konstruktor wyśle od razu kolejnego szpiega i to tak łudząco podobnego do Aureliana.

- Jakoś bardziej byłam skłonna uwierzyć w opowieść o chupacabrze – przerwała Elżbieta.

- Chupacabra? To było tylko po to, żeby ludność wiejska mogła nas czasem wesprzeć, w końcu kto wśród prostych chłopów pomógłby mojemu tacie, gdyby miał walczyć z konstruktorem droidów. Ludzie prędzej uwierzą w magiczne stworzenia niż postęp technologiczny. Tak właśnie zginął mój ojciec, zabity na dzień po odkryciu tożsamości konstruktora, a jego śmierć upozorowaliśmy na legendarne zabójstwa chupacabry.

- No dobrze, ale wychodzi na to, że nie mamy pojęcia, gdzie są oboje nasi synowie, a skoro mówisz, że ten cały konstruktor istnieje, to skąd wiesz, czy ich właśnie nie porwał?

- Nie wiem kochanie, ale jeżeli pójdę teraz z tym androidem do Sokolova, to najpóźniej jutro rano odnajdziemy naszych synów – dodał usatysfakcjonowany, wiedząc że to jedyny sposób na uratowanie dzieci.

VI

Aurelian the Straszny nie musiał czekać przed chatką pustelnika zbyt długo, bo po około godzinie cała trójka wyszła na zewnątrz, gdzie wciąż jeszcze trwała noc. Ogólne założenie było takie, żeby umieścić tajemniczy przedmiot (który był tylko ogonem kota) w jednym z kręgów, a na drugim postawić Aureliana i zobaczyć co się stanie. Był to pomysł tak głupi i naiwny, że sam pustelnik podchodził do niego bardzo sceptycznie, a i Aurelian przysłuchujący się z daleka rozmowie, od razu wyraził sprzeciw. – Ale właściwie to co się stało, gdy wtedy zniknąłeś, co? – spytała Annabel.

- To wy używaliście tej maszyny na Aurelianie? – zdziwił się do tej pory nieobecny duchem pustelnik. – Przecież to niebezpieczne, ale zaraz, zaraz... jesteś tu gdzieś Aurelian? Nie ujdzie wam na sucho, że używaliście maszyny beze mnie, macie mi natychmiast wszystko opowiedzieć. A tak w ogóle to czemu się ukrywasz? Co to ma znaczyć? – denerwował się pustelnik.

- To może jak dojdziemy na miejsce, nie mam zamiaru o tym krzyczeć, ok.? – odparł zrezygnowany Aurelian.

Lada chwila byli na miejscu, a jaskinia po raz pierwszy nie była wiele straszniejsza od reszty spowitego ciemnością świata. Przemierzając liczne labirynty i omijając stalagmity, doszli do wielkiej hali i umieścili wszystkie swoje źródła światła wkoło okręgów, gdzie na jednym z nich leżała około setka zdechłych psów, jedno na drugim. – To taki mieliście plan? Poświęcić 100 psów, by wysłać w inny wymiar Aureliana, który jak się okazuje wcale nie znalazł się w innym wymiarze, tylko jest tutaj z nami, tak? – dalej denerwował się pustelnik. – Może coś na usprawiedliwienie?

- Tak – odparł nie swoim, dużo grubszym głosem Aurelian i wyłaniając z ciemności swe oblicze, pchnął na ziemię pustelnika.

- Konstruktor?! Ty żyjesz? Ale jak, jak to możliwe? – zwrócił się do potwora.

- Jaki konstruktor? O co tu chodzi? – pytała przerażona Annabel.
- Żyję i mam się dobrze, a dzięki wam nareszcie odnalazłem machnę życia i śmierci. Teraz będę mógł wreszcie wcielić w życie swój plan – odpowiedział potwór.
- Ale to ty nie jesteś Aurelian? Gdzie jest mój brat? Co z nim zrobiłeś potworze?! – płakał Walerian.
- Najzwyczajniej zabiłem go i pożarłem – wtedy Walerian przypomniał sobie słowa: „Nic nie jadłem od prawie dwóch dni”. – Idąc nocą przez las, spostrzegłem jasny blask, więc zakradłem się na miejsce. Zobaczyłem tam młodego chłopaka, który zupełnie dezorientowany szedł prosto w moją stronę. Gdy mnie zobaczył, wcale się nie zdziwił, ani nie przeraził, ale powiedział, że jest człowiekiem i przybywa w pokoju. Twierdził, że pochodzi z innego wymiaru i zaczął opowiadać o maszynie, później zaczął też wymieniać imiona takie jak Annabel, czy pustelnik i wiedziałem, że dzięki nim odnajdę maszynę. Zabiłem więc go i wzięłem jego ubrania, aby być bardziej przekonujący. Do tego czasu zdążyłem też zbudować androida, by zwieść Waleriana i zapobiec poszukiwaniom dzieci przez Alberta, który ciągle niszczy moje dzieła. Ale jest żaloszny, myśli że szpieguję państwo! Ha! Mam ten wasz kraj głęboko gdzieś! Od wieków chodzi mi tylko o maszynę! Odkąd dowiedziałem się o tej miejscowości i o maszynie, zacząłem budować roboty, które niszczyli wszyscy potomkowie rodziny Kowalów od niepamiętnych lat, a które dowiadywały się od ludzi wielu niepotrzebnych bzdur. Gdyby nie wygląd mojej rasy, już dawno odnalazłbym tę piekielną maszynę! Szkoda, że nie będziecie mogli tego nikomu powtórzyć. – Co teraz zrobisz? – spytał pustelnik, z przerażeniem w głosie.
- Głupcy, nawet nie wiecie do czego ta maszyna służy! Myśleliście, że przenosi w inny wymiar? Miliony lat temu cywilizacja istot takich jak ja budowała je, by zabierać życie jednym – mniej wartościowym, a dawać drugim – nam, przedłużając nasz żywot. Zostało mi zaledwie sto lat, ale dzięki tej maszynie i

waszej trójce będę mógł również ożywiać swoje roboty. – Po chwili ciszy Annabel postanowiła, że przejmie inicjatywę: - Biedny – zaczęła spokojnie – całe życie byłeś odtrącany, twoja rasa już doszczętnie wyginęła. Nie dziwie się, że będąc sam jak palec przez ostatnie stulecia, chcesz ożywiać swoje automaty – po chwili dodała – ale wiedz, że nie musisz nas zabijać, aby stworzyć sobie przyjaciół.

- Jesteś gotowa wybaczyć mi, mimo że zabiłem twojego chłopaka? – przeraził się potwór.

- Tak jestem, gdyż rozumiem twoje motywacje.

- Nie, to nie może być prawda, wy ludzie nie jesteście tacy. Chcesz mnie oszukać i uciec. Wszyscy chcielibyście tylko mnie zabić!

- A czy wszyscy z twojej rasy budowali roboty? Sam widzisz, że jesteś wyjątkowy. My ludzie też tacy jesteśmy – różnorodni. – Walerian też odważył się dodać coś od siebie, wiedząc że w ich sytuacji może to tylko pomóc: - Kochałem brata, ale teraz gdy go już nie ma, wolę abyś ty nim został, niż aby nie było go wcale.

Mimo tego, że potwór miał ponad dwa metry i był wielki i potężny, wzruszył się ogromnie, a cała trójka podbiegła, by go przytulić. Trwali tak przez chwilę, aż z końca Sali dobiegł okrzyk: - Giń chupacabro!

- Nie! – krzyknęła Annabel, a pustelnik osłonił potwora, ginąc wraz z nim od ciężkiego strzału, który przeszył ich obu na wylot. Annabel i Walerian płakali sobie nawzajem w ramię, a po chwili dołączyła do nich również Elżbieta. Albert oparł broń o ramię, popatrzył przez chwilę i wyszedł z sali wraz z androidem, do końca życia opowiadając Sokolowowi, że zabił jednym strzałem konstruktora i chupacabrę, nie wiedząc, że zabił też pustelnika.